



Karol Dickens

Walka
życia

Karol Dickens

Walka życia

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Karol Dickens
„Walka życia”

Copyright © by Karol Dickens, 1914
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Wydawnictwo: Drukarnia i Księgarnia Św. Wojciecha
Poznań, 1914

ISBN: 978-83-8119-410-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Walka życia nie należy do dużych kompozycji wielkiego angielskiego powieściopisarza. Karol Dickens (ur. 1812 r., um. r. 1870. Życiorys obszerniejszy znajduje się w tomie pierwszym wyboru dzieł „Świerszcz za kominem.”) pragnął w niej uwydatnić podobieństwo pomiędzy orężnym bojem dwu wojsk, którego skutki trwają długo, lecz czasem stają się podobne do bladej łuny odległego pożaru — a wiekuistymi zapasami człowieka z losem o szczęście, — zapasami, których ognistej żarliwości nie łagodzą wieki. Bez wątpienia i w jednym i w drugim zjawisku niemałą gra rolę traf: on krzyżuje nieraz najszczególniej i najsubtelniej uplanowane zamysły ludzkie; ale potęgą, zdolną zmusić szczęście, aby poszło w tropy ludzkie, jest podług Dickensa: poświęcenie i miłość wzajemna bliźniego, bo „takie prawo wieczności: zło często słabnie samo przez się i umiera wraz z tym, kto je czyni — a dobro — nigdy”. (Nasz wspólny przyjaciel — tegoż autora).

Na nic nie zdadzą się drwiny z życia i nazywanie go nędzną farsą, jak to zwykł mówić doktor w „Walce życia”. „Śmiechy i szyderstwa nie wysieją ludziom żadnych kłosów”.

Na tem tle ogólnoludzkich zagadnień rozwija się akcja powieści, wybornie odtwarzana przez grono ludzi, po mistrzowsku przez Dickensa scharakteryzowanych.

A. M.

CZEŚĆ I.

Niegdyś w potężnej Anglii odbyła się krwawa bitwa, mniejsza o to, gdzie i kiedy. Bito się cały długi, letni dzień, kiedy już zieleniec zaczęła bujna trawa. Polne kwiaty, stworzone ręką

Boga, by w ich pachnących kielichach zbierała się rosa poranna, w dniu tym przepełnione krwią z drżeniem pochyliły się ku ziemi. Owady, które subtelną swą barwę otrzymały od niewinnych liści i traw, w tym dniu ubarwiły się posoką umierających, a umykając w trwodze, pozostawiały za sobą nie zwyczajny ślad. Różnobarwne motyle roznosiły na swych skrzydłach zapach krwi. Rzeczka poczerwieniała. Stratowane pole pokryło się błotem, a oddzielne kałuże, zbierające się w śladach nóg ludzkich i końskich kopyt, migotały w słońcu złowieszczym połyskiem.

Nie daj nam Boże widzieć to, co zobaczył miesiąc, wypłynąwszy z poza ciemnego obramowania dalekiego wzgórka, patrząc z wysokości na pole bitwy, pokryte martwymi ciałami ludzi, leżących na wznak, w takiej pozycji, w jakiej bywało leżeli przy piersiach matki, uśmiechając się do niej przez sen. Niemiły zaduch, unoszący się nad niemi, mógłby opowiedzieć wszystkie okropności krwawego pogromu i przedśmiertne męki zabitych żołnierzy. Nieraz księżyc smutnie spoglądał na pole bitwy i gwiazdy troskliwie czuwały nad spokojem martwych, a wiatr ze wszech stron ziemi dopóty owiewał równinę, póki nie usunął wreszcie wszystkich śladów straszliwego poboju.

Długo jeszcze leżeli, tylko od czasu do czasu dając znać o sobie, a przyroda w oczekiwaniu nowych ludzkich namiętności, wkrótce przybrała znowu poprzedni spokój i jakby nic się nigdy nie zdarzyło, znowu z uśmiechem patrzyła na pole zbrodni. Znowu nadleciały skowronki i dźwięcznie śpiewały w górze; lekkie cienie obłoków w wyścigach wzajemnych przesuwały się nad polami, ogrodami i lasami, nad dachami domków i nad szczytem dzwonnicy małego, skrytego w zieleni

miasteczka, i leciały w świetlaną dal, gdzie dogorywają ostatnie promienie zachodzącego słońca a niebo zlewa się ze ziemią. Na polach zawrzała praca; siano, pszenicę i żyto zwożono do spichrzów. Na brzegu rzeczki zaturkotały koła młynu; pogwizdując, szli wieśniacy za pługiem, żeńcy i kosiarze rozchodzili się grupami po całym polu. Tutaj pasły się stada, malcy z krzykiem i hukaniem gonili ptactwo. Folwarczne kominy dymiły i spokojnie dźwięczały świąteczne dzwony, a starcy dożywiali swego wieku i umierali. Wiotkie polne trawy i różnobarwne kwiaty pojawiały się na świat Boży i odżywały. I to na tem samym krwawem polu, gdzie niegdyś ludzie padali tysiącami w straszliwym boju.

Prawda, na niwach między kłosami pojawiały się ciemno zielone plamy, występujące z roku na rok w tych samych miejscach. Ludzie patrzyli na nie z grozą, bo wszystkim było wiadomo, że grunt pod niemi użyźniony trupami ludzi i koni, zrzuconych bezładnie na wspólny stos. Wieśniacy, idący za pługiem po tych miejscach, odwracali się ze wstrętem od wielkich, masami wijących się robaków, a snopy kłosów stąd zebrane, odrzucali na bok. Przez długie lata utrzymywała się dla nich nazwa „krwawych” i starannie ich unikano przy zbieraniu z pola w święto żniw. Przez długie lata każda skiba odkrajanej pługiem gleby odkrywała jakieś ślady bitwy; pouszkodzane drzewa, pokruszone na drobne kawałki koły i rozwalone mury jasno mówiły o tem, że tu niegdyś odbywała się zacięta walka. Miejscami nie było śladu roślinności, do tego stopnia niegdyś wszystko wydeptano. Dziewczęta wiejskie nie odważały się zrywać kwiatów z tego pola śmierci, jak gdyby nie wydawały im się pięknymi i wiele lat przeszło, zanim zniknęła wiara, że tu

zebrane jagody pozostawiają na rękach nie dające się zmyć ślady.

Jednakże lata, niosące wciąż jednakowo lekkie letnie obłoczki, pomału usunęły i te ślady krwawej bitwy; wspomnienia o jej minionych dziejach przeszły w zakres podań i smutno przypominały się, jako opowieści w zimowe wieczory, które z każdym rokiem coraz więcej i więcej znikają z pamięci. Na miejscach, gdzie tak długo nie zbierano jagód, zaczęto budować domy i zakładać sady, w których dzieci bawiły się w żołnierzy. Uszkodzone drzewa poszły na drwa i zgorzały ze szumem i trzaskiem podczas uroczystości rodzinnych. Pamięć o ciemnozielonych plamach zanikła podobnie, jak i o tych, których ciała leżały pod nimi. Jeśli niekiedy przy orce znaleziono jeszcze jakiś kawałek zardzewiałego metalu, to trudno już było odgadnąć jego dawne przeznaczenie i z tego powodu wynikały nieskończone spory i domysły. Stary pogięty pancerz i hełm z tych dawnych czasów wisały nad wybielonym wchodem do kościoła, a sędziwy starzec, który nie był już w możności rozróżnić ich obecnie, pamiętał, kiedy, będąc jeszcze maleńkiem dzieckiem, ze zdziwieniem wytrzeszczał na nie oczy. Jeśliby padli w tej bitwie ludzie mogli choć na chwilę zmartwychwstać w tym stanie i na tem miejscu, na którym ich zastała przedwczesna śmierć, jakiemiz straszniemi, okaleczaleni postaciami pokryłoby się całe pole. Pojawiliby się wszędzie: u okien i drzwi, przy spokojnych stadach, w domach, stodołach i spichlerzach, przy kolebkach, we falach rzeczki, dookoła młyna; przepelniliby łąki, owocowe sady i zawaliliby sobą całą rzekę. Tak to zmieniło się pole walki, na którym padły legiony w strasznej rzezi.

Lecz nigdzie prawdopodobnie nie zmieniło się tak, jak w maleńkim, owocowym sadku, okrążającym stary kamienny dom z portykiem obrosłym pnąciami różami. Sto lat temu wstecz, w prześliczny jesienny dzień dwa młode dziewczątka, zanosząc się śmiechem, płały wesoło na łączce przy dźwiękach muzyki, a z pół tuzina robotnic, stojących na drabinach i zbierających z jabłoni owoce, zapomniało o robocie, lubując się ich płaami. Scena była rzeczywiście ujmująca, żywa i naturalna; cudny dzień, oddalone spokojne miasteczko i dwie tańczące dziewczynki w pełni swobody i wesela.

Jeśliby ludzie mniej myśleli o swoim wyglądzie, według mnie życie byłoby o wiele znośniejsze. Radowała się dusza na widok tańca dwojga dziewcząt. Widzów nie było, o ile nie liczyć robotnic, biorących udział w zabawie. Nie było celem dziewcząt rozweselać ich, tańczyły one rzeczywiście dla własnego zadowolenia, tak przynajmniej wydawało się z boku. A jak przytem tańczyły!

W każdym razie nie tak, jak zawodowe tancerki, albo przykładowe wychowawice jakiejś modnej pensyi. Nie, ich taniec nie przypominał ani kadryla, ani menueta, ani tańca sielskiego; nie można go było zaliczyć ani do starej, ani do nowej szkoły; nie zbliżał się charakterem swym ani do francuskiego, ani do angielskiego, tylko zlekka przypominał hiszpański, odznaczający się, o ile mi wiadomo, żywością i lekkością ruchów, pod dźwięk kastaniet, dodających mu właściwego rytmu i czarującego powabu. Młode dziewczęta krążyły po sadzie, pomiędzy owocowymi drzewami, a ich ożywienie rozszerzało się podobnie, jak kręgi na wodzie, stopniowo udzielając się całemu otoczeniu. Zdawało się, że wszystko tańczy: rozsypujące się na ramiona

włosy, rozwiewające szaty, bujna trawa u ich stóp, szelest listków, miękki cień drzew, muskający wietrzyk — słowem cały świat, poczynając od obu dziewczątek aż do ukazującego się gdzieś daleko na horyzoncie oracza.

Wreszcie młodsza, zmęczona, ze śmiechem osunęła się na ławkę; starsza oparła się o drzewo obok niej. Wędrowni muzykanci, skrzypek i harfiarz, umilkli, kończąc przepyszny akordem, jakby oznajmiając o pełnej świeżości swych sił; a tymczasem tak silili się i doszli do tak szybkiego tempa, że nie byliby w stanie utrzymać go choćby pół minuty dłużej. Robotnice z góry wyraziły półgłosem swoje zadowolenie i skoro tylko umilknął dźwięk ostatniej nuty, natychmiast zabrały się znowu do pracy, jak pszczoły.

Robota zawrzała jeszcze żywiej niż przedtem, może dlatego, że stary dżentelmen, nikt inny, tylko sam doktor Dzeddler, właściciel domu ze sadem i ojciec młodych dziewcząt, szybko wyszedł z domu i patrzył, co się stało i kogo licho przyniosło do sadu z muzyką i to jeszcze tak rano. Doktor Dzeddler był dobry wprowadzić filozof, jednakże nie meloman.

— Muzyka i tańce dziś! — zamruczał do siebie. — No, to sobie wybrali dzień! Grez! Merion! — dodał głośno. — Cóż to, czy świat oszalał, czyście wy poszalały dziś jeszcze więcej niż zwykle?

— A choćby i tak było, ojczy — odpowiedziała młodsza córka, Merion, podchodząc i spoglądając mu w oczy. — Nie broń, wszak to dzisiaj dzień urodzin.

— Czyżże to dzień urodzin? — powtórzył doktor. — Czyż nie wiesz, że w każdym dniu ktoś rodzi się na świecie? Czyż ci nie wiadomo, wielu nowych aktorów co minutę pojawia się na

scenie dla tej nużącej i niesmacznej farsy, nazwanej życiem?

— Nie, ojcze, nie wiem.

— No, skądże masz to wiedzieć, wszakżeś kobieta i to jeszcze niedojrzała. Przypuszczam, że to dzisiaj twój dzień urodzin, czy tak?

— Czy rzeczywiście tak przypuszczasz, ojcze? — zawołała jego ulubienica, składając usta do pocałunku.

— A więc przyjmijże moje życzenia i wraz z nimi moje serdeczne uczucia — powiedział doktor, całując ją. — Pragnę, by ten szczęśliwy dzień sto razy jeszcze powtórzył się w twojem życiu. Dobryś! i ja pragnę powtórzenia takiej głupiej farsy, jak życie, ha, ha, ha! — mruczał do siebie doktor.

Doktor Dzeddler był prawdziwym filozofem. Istota jego filozofii polegała na tem, że wszystko na świecie uważał za niesmaczne i nie zasługujące na poważną uwagę rozumnych ludzi. Pole bitwy, na którem przeżył cały swój wiek, nie pozostało bez wpływu na układ jego myśli.

— Powiedz mi jednak, skąd wzięli się ci muzykanci?

— Przysłał ich Alfred — objaśniła Grez, poprawiając we włosach siostry polne kwiaty, które rozsypały się w czasie płasów.

— Alfred? Ach, tak!

— Tak. Spotkał ich, wracając do miasta, gdzie zatrzymali się na nocleg. Dziś dzień urodzin Merion, chciał zrobić jej przyjemność, przy słał więc ich do mnie z prośbą, aby zagrali jej serenadę, jeślibym nic przeciw temu nie miała.

— Tak, tak — zauważył doktor — on we wszystkim na tobie polega.

— A ja się zgodziłam — ciągnęła Grez niezmiészana i kiwnąwszy głową, zaczęła zachwycać się siostrą — Merion bardzo się tem ucieszyła i przyszło jej na myśl potaćńczyć, a ja poszłam za jej przykładem. Aż w końcu straciłyśmy siły, tańcząc z tem większem zadowoleniem, że muzykę przysłał Alfred. Nieprawdaż Merion?

— Ach, doprawdy, nie wiem Grez. Że też ty masz zawsze ochotę drażnić mnie tym Alfredem.

— Drażnię cię, kiedy mówię o twoim ukochanym?

— Tak ciągle o nim wspominasz — dąsała się kapryśna Merion, obrywając płatki kwiatów i rzucając je na ziemię. — Dokuczyły mi ciągle te przymówki; co się zaś tyczy jego miłości...

— Nie mów o nim tak lekko, moja droga, on naprawdę kocha ciebie! — gorąco przerwała jej siostra. — Na całym świecie niema człowieka szczerzego i bardziej ci oddanego.

— Nie przeczę — odpowiedziała obojętnie Merion, podniósłszy brwi. — Być może, że masz słuszność; jednakże jakaż to zasługa z jego strony? Ja go przecież o to nie prosiłam i od niego wierności nie wymagam. Jeśli spodziewa się, że ja... No, droga Grez i nacóż te gawędy a do tego teraz?

Miło było patrzeć na zręczne, młode dziewczęta, kiedy, objąwszy się, migały między drzewami. Powaga jednej stanowiła zupełny kontrast z żywością drugiej, kontrast ten jednakże nie niszczył ich wzajemnego, czułego przywiązania. Podczas serdecznego współżycia oczy młodszej nieraz napełniały się łzami i głębokie, gorące uczucie gotowe było wyrwać się na zewnątrz, bez względu na chęć ukrycia go pozorem żartu, kaprysu lub obojętności.

W istocie nie było pomiędzy nimi większej nad cztery lata różnicy, a jednak Grez wydawała się znacznie starszą niż siostra. Jak to się często dzieje, kiedy w rodzinie niema matki — doktor rychło owdowiał — musiała wziąć na siebie wszystkie troski o młodszą siostrę i zająć miejsce matki. Młodsza, nie mogąc dla swej natury rywalizować z nią i brać udziału w jej pracach, współdziałała całą siłą swej sympatyj i gorącego przywiązania. Macierzyńskie uczucia są tak święte same przez się, że nawet cień ich oczyszcza i podnosi ludzkie dusze!

Doktor przyglądał się córkom i słuchał, o czym mówiły. Zrazu ograniczył się w swych rozmyślaniach do uwagi nad bezmyślnością każdej miłości, z powodu której młodzież nakłada na siebie dobrowolne więzy, uważając za rzecz poważną taką niedorzeczność. Wszak wcześniej, czy później muszą pozbyć się ułud. Wszak zawsze we wszystkim następuje rozczarowanie!

Przymioty duszy Grez, stworzonej do życia rodzinnego, były widoczne dla doktora w jej skromnym wyglądzie, stanowiącym zupełny kontrast z pięknnością młodszej córki; zaczął się smucić nad jedną i nad drugą, kiedy zastanawiał się nad niesmakiem życia. Nigdy nie myślał nad tem, czy córki jego zechcą kiedy poważniej ułożyć swe losy; nie darmo był filozofem.

Z natury dobry i wyrozumiały, podobnie jak wielu, potknął się o filozoficzny kamień, który znaleźć o wiele łatwiej niż przedmiot poszukiwań alchemików; ten kamień często wytrąca z toru najlepszych ludzi, władając zgubną własnością zamieniania złota w proch, a każdego skarbu w nic nie znaczącą rzecz.

— Briten! — krzyknął doktor — Hej, Briten!

Maleńki człowieczek, z niezwykle ponurą i niezadowoloną twarzą, ukazał się w drzwiach domu i zapytał na wezwanie zupełnie bezceremonialnym: — No, cóż tam jeszcze?

— Gdzież stół, nakryty do śniadania?

— W domu.

— Przecież ci wczoraj jeszcze kazano nakryć w sadzie? — ciągnął doktor — Czyż nie wiesz, że oczekuję dżentelmenów do dzieła, które winno być skończone do przyścia pocztowej karety? Żywo!

— Czy mogę wszystko sam jeden zrobić, doktorze Dzeddler? Sam pan osądź, robotnice zajęte w sadzie! — odpowiedział Briten, za każdym słowem coraz wyżej i wyżej podnosząc głos.

— No, teraz już są wolne — zauważył doktor, patrząc na zegarek. — Żywo, do pracy! — krzyknął — Gdzież Klemensi?

— Tutaj jestem, panie — odezwał się głos z jednej z drabin i para niezgrabnych nóg zaczęła się w dół spuszczać. — Oto właśnie gotowe, zbierajcie żywo, dziewczęta. Wkrótce skończymy, panie.

Z temi słowy Klemensi zaczęła się krzątać. Wygląd jej trudno opisać. Mogła mieć około trzydziestu lat, oblicze jej nosiło znamię pewnej tępości, dającej mu komiczny charakter. Twarz jednakże nie harmonizowała z chodem i ruchami. Ręce jej i nogi były jakby niewłasne, a wszystkie kończyny wydawały się wywichniętymi, skoro zaczęły się ruszać. Nie martwiła się taką budową ciała swego i nie zwracała na nią żadnej uwagi, kierując rękami i nogami, jak wypadło, pozostawiając im zresztą zupełną swobodę. Jej ogromne, nieposłuszne chodaki w żaden sposób nie mogły trafić tam, gdzie skierowały się stopy, obute w niebieskie pończochy a pstra drelichowa suknia

z różnobarwnymi kwiatami miała najoryginalniejszy krój, jaki tylko można sobie wyobrazić. Nosiła stale krótkie rękawy, i dlatego łokcie miała zawsze podrapane i pokaleczone. One to budziły w niej czułą troskę. Napróżno jednak wykręcała ręce, starając się obejrzeć swe łokcie, które nieustannie pocierała i gładziła. Maleńki czepek nigdy nie leżał w tem miejscu na głowie, w którym przyjęto nosić tę część niewieściej toalety, a biały fartuszek dopełniał jej stroju. Bardzo schludna od stóp do głowy; była dość obrotną, bez względu na rozluźnienie swych członków. Pragnąc okazać się sprawną nie tylko we własnem sumieniu, lecz i w oczach ludzi, czyniła nader komiczne zwroty, chcąc poprawić brykle swego gorsetu lub doprowadzić do porządku nieposłuszne części ubrania.

Taką to była Klemensi Niukom. Być może, że ona sama dała powód do przekręcenia swego chrześcijańskiego imienia Klementyny, chociaż w rzeczywistości nikomu nic o tem nie wiadomo. Dziwny fenomen długowieczności, jej staruszka matka, którą utrzymywała prawie od dzieciństwa, umarła, a zresztą rodzeństwa nie miała.

Klemensi zajęła się przygotowaniem do śniadania; stawała w zadumie przed stołem, krzyżując swe czerwone, nagie ręce i w głębokiem zadumaniu rozważała, czego jeszcze brak. Przypomniawszy sobie o czemśkolwiek, pędem rzucała się do domu.

— A, oto i obaj prawnicy, panie! — zawiadomiła niezbyt zadowolonym głosem.

— A! — zawołał doktor, idąc ku bramie — witajcie, witajcie! Grez, Merion! Oto pan Snitczy i Kreggs! No, a gdzie Alfred?

— Prawdopodobnie zaraz przyjdzie, ojciec — odpowiedziała

Grez. — Przed odjazdem zebralo mu się tyle czynności do załatwienia, że wstał o świcie i zaraz poszedł. Witam panów!

— W imieniu mojem i Kreggs'a — zaczął Snitczy — dzień dobry; całuję rączki panno Merion. — Pragnąłbym z panią — trudno określić, jak gorące były jego słowa, nie wydawał się bowiem przejęty zbyt ciepłymi uczuciami dla bliźnich — pragnąłbym z panią jeszcze sto razy święcić ten szczęśliwy, wspaniały dzień!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się doktor, wkładając ręce do kieszeni. — Bez końca, stuaktowa farsa!

— No, panbyś z pewnością nie zgodził się skrócić jej — zauważył pan Snitczy, opierając swą teczkę z papierami o nogę stolika — wiedząc, że w niej uczestniczy tak powabna dziewczynka, jak pańska córka, Merion.

— Boże zachowaj! — odrzekł doktor. — Niech pożyje, a z pewnością pośmieje się nad tą farsą i powie za francuzami: „Komedia odegrana — kurtyna zapada.”

— I francuski dowcip i pańska filozofia niesłuszne, doktorze Dzeddler; już panu to często powtarzałem. Mówi pan, że w życiu nic niema poważnego? A prawo?

— Wszystko głupstwo! — odpowiedział doktor.

— No, a zdarzyło się panu kiedykolwiek procesować się? — zapytał pan Snitczy.

— Nigdy.

— Jeśli się to panu kiedy zdarzy, wówczas może zmieni pan swe zapatrywanie — zauważył Snitczy.

Kreggs, za którego zastępcę uważał się zazwyczaj Snitczy, niedokładnie zdawał sobie sprawę z odrębnego istnienia swej

osoby. I teraz dodał uwagę, pochodzącą z jego wyłącznej myśli. Z tego też powodu miał wielu przyjaciół w świecie, pomiędzy niegłupimi ludźmi.

— Wszystko na świecie stało się już ponad miarę swobodne — rzekł pan Kreggs.

— To znaczy co właściwie: prawo?

— Tak — odpowiedział pan Kreggs — i samo prawo i wszystko inne. To choroba wieku. Jeśli mamy przypuścić, że życie jest komedią, na co ja, w ostateczności, mógłbym się zgodzić, to trzeba, aby była ona pełna treści. Życie powinno być ciągłą walką, panie, to jego przeznaczenie. A teraz wszystko uproszczone i ułatwione do niemożliwości. Maścimy wrota wiodące do życia, a im należałoby, po prawdzie, skrzypiec na zardzewiałych zawiasach.

Wypowiadając to zdanie, doskonale zgodne z jego usposobieniem, pan Kreggs sam zdawał się skrzypiec na własnych zawiasach.

Był to człowiek czerstwy, kościsty i zimny; jego zwykła szarobiała odzież nadawała mu wygląd krzemienia, a migotliwe, niespokojne oczka, zdające się miotać iskry, dopełniały analogii.

Wogóle trzy królestwa przyrody miały swoich przedstawicieli w postaci trzech współbiesiadników: jeśliśmy bowiem porównali Kreggs'a do krzemienia, to Snitczy mocno podobny był do gapiowatej sroki lub wrony, a oblicze doktora było jak rumiane, zimowe jabłko z czubkiem z tyłu zamiast szypułki.

Wtem piękny młodzieniec w podróżnym ubiorze, w towarzystwie tragarza z pakunkiem, ukazał się przy furtce ogrodu; twarz jego tchnąca radością i nadzieją w zupełności harmonizowała ze ślicznym porankiem. Trzej dżentelmeni

obstąpili go, podobnie jak trzy przebrane gracye lub złowieszcze parki i powitali go pozdrowieniem.

— Sto lat życia, Alfie! — zawołał doktor.

— Obyśmy sto lat przeżyli i święcili tę szczęśliwą rocznicę, panie Gitfild — powiedział Snitczy z niskim ukłonem.

— Szczęśliwą, hm! — zamruczał kwaśno pod nosem Kreggs.

— Co za napaść — zawołał Alfred z komicznym przest్రachem — co za szereg: jeden, dwóch, trzech niedobrych wróżbitów! Lichy znak przed puszczeniem się na odkryte morze życia! Na szczęście spotkałem rano pierwszą Grez, kochaną, dobrą Grez i błogosławiąc temu, nie przywiązuję żadnej wagi do spotkania z wami! Nie boję się was!

— Przepraszam, panie, „ja” byłem pierwszą — wmieszała się Klemensi Niukom. — Panienska Grez jeszcze ze wschodem słońca poszła do sadu, a ja byłem w pokojach. Przypomina pan sobie?

— To prawda. Klemensi ma słuszność! Tak, dzięki jej nie boję się was! — powiedział Alfred.

Snitczy roześmiał się wesoło.

— Za siebie i za Kreggs’a. Ciągnij los pod znakiem Klemensi.

— Dlaczegoż nie? Ona może się przydać nie gorzej od innych — wyraził Alfred, przyjacielsko ściskając rękę doktora, a także Snitczy’ego i Kreggs’a. — No, ale gdzie...

Nagle rzucił się w stronę nadchodzących sióstr i popchnął w pośpiechu Jonatana Snitczy na Tomasza Kreggsa tak, że zbliżyli się do siebie więcej, aniżeli tego wymagała towarzyska rozmowa. Nie trzeba dodawać, że młodzieniec podszedł najpierw do Merion, a następnie do Grez, przyczem obejście

jego z panienkami mogło się wydać panu Kreggs'owi zanadto swobodnem.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

